

Dyskusja

Wydawnictwo
No
CZYTELNIA PRAC

BILETY W MIEJSCOWOŚCI
DOMU KULTURY
Nr 1 (19) W





KURPIE ZIELONE

Dziękuję 5/1/89

Nr 1/19/1989

1989 (styczeń-marzec)

Dyskusja

BIULETYN WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY w BIAŁYMSTOKU

W NUMERZE:

ZBIGNIEW WAYDYK — Fraszki

35 LAT NA SCENIE

IWONA WĄSOWICZ-SZCZEPANIAK — 18 lat z „Kurpiami”

Rozmowa z reżyserem i choreografem zespołu Wiesławem Dąbrowskim

KAZIMIERZ MAKSYMILIAN DERKOWSKI — Przygody z „Kurpiami Zielonymi”

Najbardziej lubimy tańczyć — rozmowy z „Kurpiakami”

WALDEMAR FIEDOROWICZ — Tak to się zaczęło

DIAGNOZY — STAN KULTURY

MIROSLAW GRYKA — Mrówka

MIROSLAW SOBECKI — Głuchy telefon czyli kto napisał „W poszukiwaniu straconego czasu”

Kup Pan „Dyskusję”!

ANTONI NAREWSKI — Poczytylion literacki

KRZYSZTOF OSTASZEWSKI — Cohen — bard współczesności.

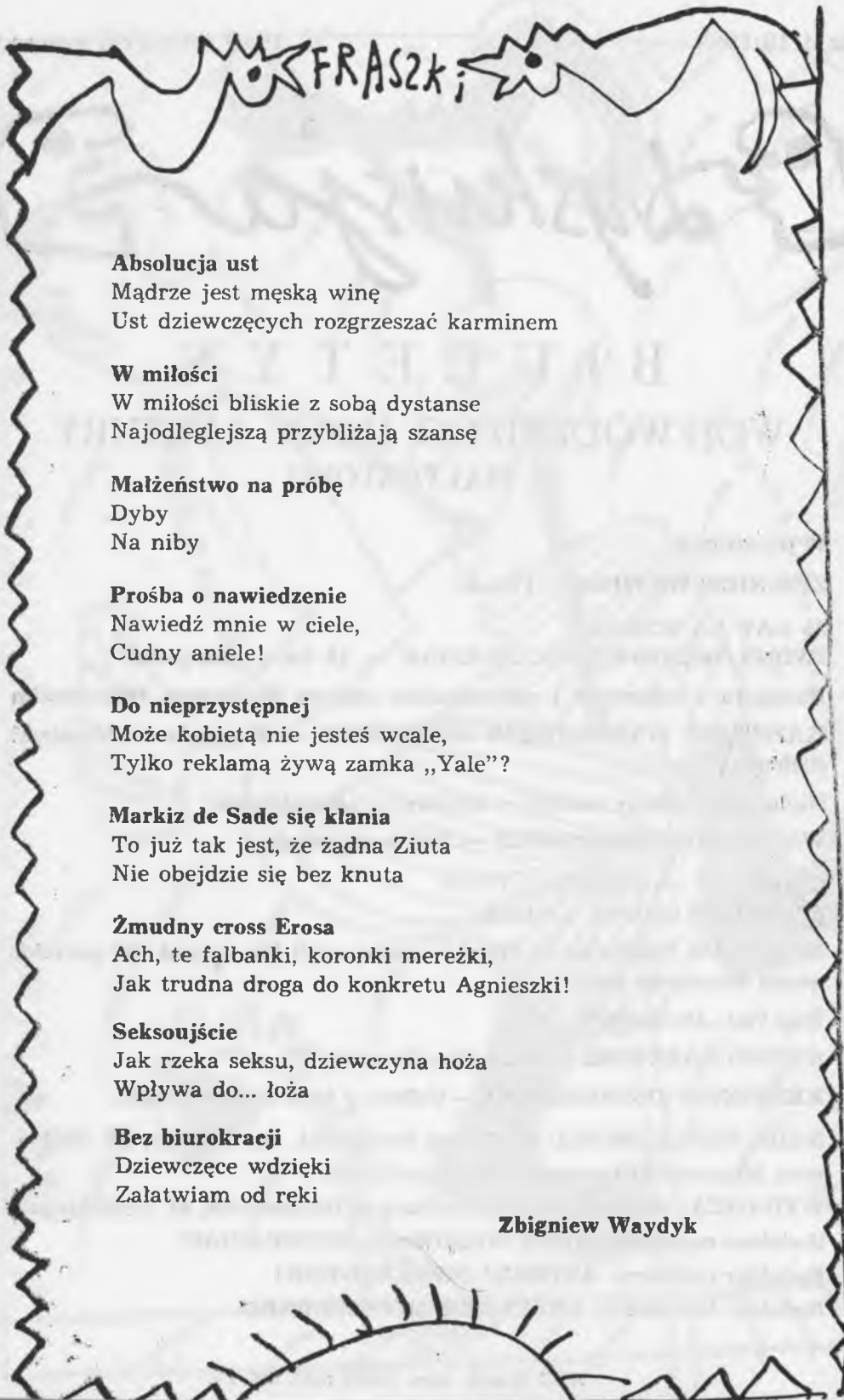
RADA PROGRAMOWA: Kazimierz Derkowski, Jan Szaciłło, Ali Miśkiewicz, Krzysztof Ostaszewski, Mirosław Gryka.

WYDAWCA: Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku, ul. Kilińskiego 8

Redaktor naczelny: IWONA WĄSOWICZ-SZCZEPANIAK

Redaktor graficzny: ANDRZEJ DWORAKOWSKI

Redaktor techniczny: KRZYSZTOF OSTASZEWSKI



FRASZKI

Absolucja ust

Mądrze jest męską winę
Ust dziewczęcych rozgrzeszać karminem

W miłości

W miłości bliskie z sobą dystanse
Najodleglejszą przybliżają szansę

Małżeństwo na próbę

Dyby
Na niby

Prośba o nawiedzenie

Nawiedź mnie w ciele,
Cudny aniele!

Do nieprzystępnej

Może kobietą nie jesteś wcale,
Tylko reklamą żywą zamka „Yale”?

Markiz de Sade się kłania

To już tak jest, że żadna Ziuta
Nie obejdzie się bez knuta

Zmudny cross Erosa

Ach, te falbanki, koronki mereżki,
Jak trudna droga do konkretnego Agnieszki!

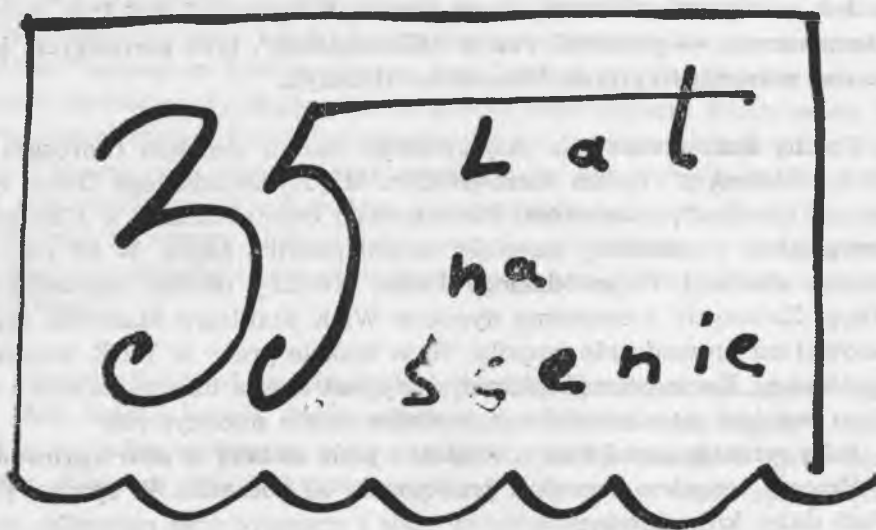
Seksoujście

Jak rzeka seksu, dziewczyna hoża
Wpływa do... łoża

Bez biurokracji

Dziewczęce wdzięki
Załatwiam od ręki

Zbigniew Waydyk



**18 LAT Z „KURPIAMI”
ROZMOWA Z REŻYSEREM I CHOREOGRAFEM ZESPOŁU
WIESŁAWEM DĄBROWSKIM**

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak — Przez osiemnaście lat — jak Pan to z dumą podkreśla — był Pan związany z Zespołem Pieśni i Tańca Białostoczczyzny „Kurpie Zielone”. Ponieważ w 1988 r. minęło 35 lat od czasu jego powstania, przez połowę istnienia zespołu był Pan jego choreografem i reżyserem. Czy wspomina Pan te lata z satysfakcją?

Wiesław Dąbrowski — Na pewno tak. I jest to satysfakcja dwojakiego rodzaju. Z jednej strony były to lata mojego własnego rozwoju. Z chwilą rozpoczęcia pracy z tak dużym zespołem folklorystycznym musiałem pojąć dużo nowych umiejętności, zarówno praktycznych jak i teoretycznych. Sięgnąłem wtedy do pism wielkich zbieraczy twórczości ludowej — Oskara Kolberga, Zygmunta Glogera, wyszukiwałem w bibliotekach smakowite kąski z dziedziny folkloru. Dotarłem np. do kwartalnika folklorystycznego „Wisła” z przełomu XIX i XX w. a także bardzo ciekawych zbiorów ks. Skierkowskiego. Praca z zespołem to była praca twórcza, wymagająca dużych wiadomości, inwencji, fantazji, a więc stworzyła mi możliwości samorealizacji. Jednocześnie mam świadomość tego, jak uczestnictwo w zespole istotne było dla rozwoju młodych ludzi, których tylu przewinęło się w czasie długiego życia „Kurpi”. Uczestnictwo w amatorskim ruchu artystycznym może spełniać funkcje kompensacyjne wobec szarości życia i nieinteresującej pracy. Próby, występy, wewnętrzna więź jaka wytwarza się podczas lat wspólnego obcowania — wszystko to pozwala odejść od codzienności i sztampy.

Członkowie zespołu poznają folklor różnych stron rodzinnego kraju, na co dzień obcują z muzyką, mają możliwość zwiedzić różne kraje, poznać różne kultury i nawiązać wiele więzi osobistych przyjacieli.

— Jak to się stało, że związał się Pan z „Kurpiami”? Był Pan przecież dziennikarzem — pracował Pan w „Kontrastach”, tych pierwszych, jeszcze pod redakcją Krystyny Marszałek-Młyńczyk.

— Trochę Pani przekreśliła mój życiorys. Zanim zostałem choreografem „Kurpi Zielonych” byłem kierownikiem Międzyzakładowego Domu Kultury „Włókniarz”, a wcześniej Powiatowego Domu Kultury w Elku gdzie prowadziłem stuosobowy dziecięcy zespół pieśni i tańca. W 68 roku po zmianie dyrekcji Wojewódzkiego Domu Kultury odeszło kierownictwo „Kurpi Zielonych” i ówczesny dyrektor WDK Stanisław Malewski proponował mi prowadzenie zespołu. To w trakcie pracy w WDK współpracowałem z „Kontrastami”, później podjąłem studia dziennikarskie i zostałem przyjęty na stanowisko kierownika działu publicystyki.

— Jaką sytuację zastał Pan w zespole i jakie zmiany w nim wprowadził?

— Pracę z zespołem zaczęłem praktycznie od początku. W spadku przejąłem duży, kilkudziesięciosobowy chór i orkiestrę oraz niewielką grupę



Poloneza czas zacząć — Podkomorzy rusza... — Fot. PETE

baletową. Zmieniłem profil zespołu — zwiększyłem balet, aby występy były mniej statyczne, bardziej interesujące wprowadziłem — wraz z muzykiem Tadeuszem Kołdowskim — tzw. folklorystyczne obrazki taneczne. Dzięki Stanisławowi Malewskiemu stworzyłem zaplecze kostiumowe, kupowaliśmy stroje z różnych regionów kraju, ponieważ każda suita wiąże się z innym obyczajem charakterystycznym dla różnych części Polski. Po roku pracy mieliśmy gotowy dwugodzinny program. Część pierwszą występów stanowiły pieśni i tańce narodowe i ludowe; w drugiej części znalazły się obrzędy i zainscenizowane przez mnie obrazki ludowe „cztery pory roku”.

— „Kurpie Zielone” to kilkudziesięcioosobowy zespół na który składa się chór, balet i kapela. Jego repertuar jest także bardzo bogaty i różnorodny — tańce z różnych regionów Polski, suity, obrazki z życia wiejskiego. Jakie są obowiązki choreografa i reżysera w tego typu zespole?

— Najważniejszym obowiązkiem choreografa i reżysera jest umiejętność wyszukania i wychwycenia z różnorodności kultur regionalnych najciekawszych, najbardziej charakterystycznych elementów i skonstruowanie z nich spójnego i dramaturgicznie interesującego spektaklu. Same tańce ludowe wyrwane z ich naturalnego kontekstu są monotonne a nabierają innego charakteru gdy włączone zostaną w obraz sceniczny. Jeśli prezentuję wesele kurpiowskie mam możliwość pokazania różnych rekwizytów, strojów — pana i panny młodej, swata i swachny, panien i mężatek, które różniły się znacznie w obyczajach ludowych. Obrzędy wiejskie, tańce i pieśni towarzyszące im tworzą dramaturgię, przyciągają widowiskowością i żywiołowością a przez to są bardziej naturalne i ciekawsze dla widzów. Oczwście odejście od klasycznego, akademickiego programu wymaga większej znajomości obyczaju, obrzędów, a także pieśni im towarzyszących, stylu życia wiejskiego — który zniknął już w postaci czystej i naturalnej.

— Zespół w czasie swojej 36-letniej działalności otrzymał szereg wyróżnień, dyplomów i nagród. Jest wśród nich nagroda Ministra Kultury i Sztuki, odznaka „Zasłużony Białostoczczyźnie”, medal za zasługi dla miasta Skopie, złoty medal Wszechzwiązkowego i Międzynarodowego Festiwalu Pieśni i Tańca w Wilnie, „Bursztynowy Neptun”. Niektóre z tych odznaczeń to także Pana zasługa.

Które ceni Pan najbardziej?

— Ja cenię na równi wszystkie nagrody otrzymane przez „Kurpie Zielone”. Każda z nich wiązała się z wysiłkiem, z pracą całego zespołu. Ale chciałbym dodać, że pominęła Pani nagrodę, która jest, według mnie, bardzo ważna i wysoko ceniona — nagrodę im. A. Chętnika przyznaną nam przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Nie była to nagroda okazjonalna, za jeden występ, ale za cały 30-letni wysiłek popularyzacji folkloru kurpiowskiego. Była to pierwsza nagroda przyznana przez Łomżyniaków zespołowi, i to nie z ich województwa.

— Czy nie będzie to niedyskretne, gdy spytam jak został uhonorowany Pana osobisty wkład w sukcesy zespołu?

— Za moją pracę z „Kurpiami” otrzymałem nagrodę Wojewody Białostockiego, Wojewody Łomżyńskiego, dyplom Ministra Kultury i Sztuki Litewskiej SRRR, nagrodę Prezesa Rady Ministrów, Prezydenta Gdańska, ostatnio nagrodę im. A. Cierniaka, a także sporo dyplomów za choreografię z różnych festiwali.

— Odbył Pan z zespołem szereg krajowych i zagranicznych wojaży, z których zamieszczał Pan relację w białostockiej prasie. Który z nich najbardziej zapisał się Panu w pamięci?

— Wszystkie wyjazdy były ciekawe, wzbogacały o nowe doświadczenia, kontakty z ludźmi, z zespołami z całego świata. Pod tym ostatnim względem interesująca była podróż do Turcji gdzie zetknęliśmy się z nieznaną nam kulturą azjatycko-afrykańską. Sympatycznie wspominam wyjazdy do Holandii i Finlandii, w których to krajach „Kurpie Zielone” były przyjmowane w uznaniu ich zasięg w propagowaniu kultury polskiej przez naszych ambasadorów. Największą satysfakcję sprawiły mi wszędzie występy dla Polonii. Już w 1974 r. mieliśmy pierwsze spotkanie w Kownie z Polakami z ZSRR, specjalnie dla nich daliśmy koncert który przebiegał w kwiatkach i placzu. W Wielkiej Brytanii towarzyszyła nam wiernie grupa polskich lotników wraz ze swymi angielskimi żonami.

Przy okazji odpowiedzi na pytanie chciałbym zburzyć pewien mit krążący wokół wyjazdów zagranicznych zespołu. Codziennosc to męczące próby dwa razy w tygodniu, występy w Bielsku Podlaskim, Hajnówce, Mońkach. Zagraniczne turnee zdarzają się raz lub dwa razy w roku a konieczne są one dla „zdrowia” zespołu i jednocześnie są nagrodą za ciągłą pracę i doskonalenie umiejętności.

— W ciągu tak długiego związku Pana z zespołem były zapewne lata lepsze i gorsze. Spotkałam się z opinią, że najwyższy poziom zespół prezentował za kadencji „duetu”; WIESŁAW DĄBROWSKI — choreograf i JERZY ŚRÓDKOWSKI — dyrygent.

— Wie Pani, bardzo trudno ocenić mi, kiedy „Kurpie” miały najwyższy poziom. Poza tym może to inaczej wyglądać z mojej strony i ze strony odbiorców z zewnątrz.

Na pewno zespół był wtedy inny. Jerzy Śródkowski prowadził dużą orkiestrę co dawało większe możliwości muzyczne i sceniczne, szczególnie w tańcach narodowych: mazurze, polonezie. Jednakże ta formuła — z dużą orkiestrą — jest teraz nie do przyjęcia, niezgodna z ogólnym trendem, ponieważ na wszystkich festiwalach i krajowych i zagranicznych dominują zespoły mniejsze, bardziej operatywne. Zresztą zastąpienie orkiestry kapelą zwiększa autentyczność, jest bliższe „prawdzie” folklorystycznej i przez to jest mnie bliższe. Uważam, że program który stworzyliśmy z Andrzejem Dyrdałem w latach 83 — 87, w którym w dużej mie-



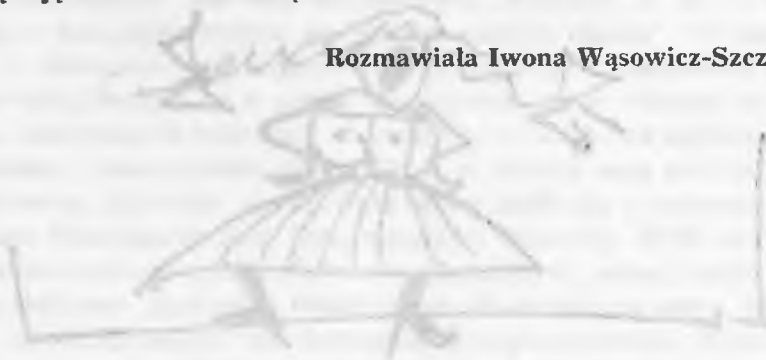
Wszystkim się zdawało, że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

— Fot. Marian Jarosz

rze odeszliśmy od stylizacji zyskał na „poprawności” folklorystycznej. Pierwsza część zawierająca tańce narodowe, folklor różnych regionów kraju jest opracowana artystycznie, a więc lekko stylizowana, natomiast druga jest wybitnie ludowa, oparta na folklorze Podlasia i Kurpiów. A co będzie dalej, w jakim kierunku zespół będzie dążył w następnych latach, to trudno mi powiedzieć. Ja odszedłem od zespołu w 1987 roku, tuż po powrocie z Francji...

— Dziękuję Panu za rozmowę.

Rozmawiała Iwona Wąsowicz-Szczepaniak



PRZYGODY „Z KURPIAMI ZIELONYMI”

1 lutego 1976 r. po moim służbowym lądowaniu w Wojewódzkim Domu Kultury, szef Eugeniusz Szczepaniak przydzielił mi opiekę nad Zespołem Pieśni i Tańca Białostoczczyzny „Kurpie Zielone”. Formalnie w listopadzie 1988 r. „Kurpie Zielone” obchodziły swoje 35-te urodziny. W ciągu 13 lat mojego z nim obcowania i zarządzania zdarzały się epizody zasługujące na wspomnienia z jubileuszowej okazji.

Sięgam więc do kalendarza i notuję:

Rok 1976 — czyli szkoła życia

W upalne czerwcowe dni przemierzamy dwoma tamami trasę z Białegostoku przez Kraków, Budapeszt, Suboticę, Belgrad do Skopje. Gościmy tutaj na zaproszenie macedońskiego Zespołu „Koco-Racin”. Jest to mój pierwszy wyjazd z „Kurpiami” w roli szefa. Uczę się zespołu. Praca z ogromnie zróżnicowanym składem osobowym pod względem wieku, wykształcenia, profesji i osobowości wymaga znajomości psychologii społecznej. Posiadana wiedza teoretyczna weryfikowana była jednak na każdym kroku przez życie. Doświadczyłem najpierw, że istnieje wyraźny podział zespołu na balet, chór i orkiestrę. Kolejny — wyróżniał liderów. Byli nimi Ryszard Stankiewicz i Piotr Giro z chóru oraz grupa „Dzięciołów” z Janem Zalewskim, Andrzejem Andruszkiewiczem, Romanem Szydłowskim, Jerzym Bułajem i Waldemarem Łukasiakiem z baletu.



Pan Waldek dał o sobie znać już w Krakowie. Znany ze skłonności do towarzyskich biesiad, oświadczył, że dalej nie jedzie. Na nic się zdały moje prośby i nalegania profesora Jerzego Śródkowskiego, nie pomogły także okłady mokrymi ręcznikami. Dzięcioł Łukasiak się zaparł i nie

chciał opuścić piętrowego łóżka turystycznej stacji PTTK w Krakowie. Pomyślałem, że jedynym sposobem na jego upór będą pozostali koledzy z tej samej frakcji. Nie pomyliłem się. „Dzięcioły” zawinęły Waldka w koc i bez trudu usadowiły „Jego Dzięciołowatą Mość” w autokarze.

Na granicy jugosłowiańskiej bohaterem odprawy paszportowej był Beniamin Przeździek z orkiestry. Służbom granicznym nie zgadzało się zdjęcie w paszporcie z fizjonomią muzyka. Przymusowe golenie brody otworzyło nam granicę do Suboticy.

W Skopje mieszkaliśmy w internacie Szkoły Budowlanej. Powodzenie miały nasze blondynki. Macedońscy młodzieńcy zalotnie przyglądali się Kurpiankom, gromadnie zaciągając wartę pod oknami, do późnych godzin nocnych.



Pierwszy koncert mamy w dużej sali widowiskowej. Pod nieobecność choreografa Wiesława Dąbrowskiego próbę sytuacyjną baletu prowadzą „Dzięcioły”. Następuje koncentracja zespołu przed koncertem i kostiumowa gorączka w garderobach. Nagle rozlega się rozpaczliwy głos Marii Gudalewskiej, naszej garderobianej: „Panie dyrektorze! Niech pan coś zrobi z Mundkiem. Nie daje mi pracować. Krzyczy, że on tu najważniejszy, a poza tym wydaje się być na dobrym rauszu”. Wkraczam do akcji. Po koleżeńsku uspokajam Chudego Menuchina (pseudonim Edmunda Szarejko), prosząc go o spokój. Potwierdzam Jego ważność w tej sprawie, jednocześnie delikatnie sadowiac go w fotelu na zapleczu. Zmiana klimatu i macedońskie słońce (45° C w słońcu) oraz nabyte gradusy zrobiły swoje. „Sjonista” zasnął. Sprawa wyjaśniła się w rozmowie z Waldemarem Małaszkieviczem. Otóż nadworni kierowcy WDK korzystając z czasu wolnego odwiedzili miejscowe karczmy. W jednej trafili na właściciela, któremu panowie z Polski przypadli bardzo do gustu. Macedończycy „otwierają dusze” na wspomnienia o partyzantach. Wykorzystali ten fakt nasi „partyzanci”, stając się kiperami wszystkich nalewek, jakie serwował im Macedończyk w coraz to większych próbkach. Finał tej degustacji już znamy.

Podczas koncertu, gdy chór śpiewa „Karposza”, widownia wstaje. Widzę wzruszenie na twarzach Macedończyków. Na scenie pojawiają się

kwiaty. Profesor Jerzy Śródkowski trafił w dziesiątkę — „Karposz” to w Macedonii świętość narodowa.

Organizatorami koncertów byli budowlańcy. Nie wszystko jednak przebiegało zgodnie z planem. W Bitola o naszym występie mieszkańcy dowiedzieli się, gdy zobaczyli polskie autokary. W amfiteatrze gdzie miał się odbyć koncert nie zastaliśmy ani jednego widza. Za garderobę służyły drzewa, a kanał dla orkiestry miał kształt obronnej fosy. Tajemnicą mieszkańców Bitola pozostanie fakt, że w ciągu 15 minut amfiteatr wypełnił się widzami do ostatniego miejsca. Nasz repertuar przyjęto entuzjastycznie. Wśród młodych widzów sympatię zdobył Piotr Borowik, który znany jest z dowcipów. Mocną stroną jego repertuaru jest przebieranie się w różne postacie, w zależności od okazji.

W Ohrydzie od Albanii oddzielało nas tylko jezioro. Nasi opiekunowie przestrzegali przed kąpielą, ze względu na strefę przygraniczną. Ta argumentacja nie trafiła jednak do „Dzięciołów” — jakże to, być tak blisko i nie przekroczyć granicy? — Przekroczyli, kąpiąc się w nocy, na szczęście bez przykrych następstw. Nie dane nam jednak było wyruszać bez stresów. W czasie porannego liczenia w autokarach brakowało dwóch osób. Przy pomocy służby hotelowej sprawdzamy wszystkie pokoje. Bez skutku. Wreszcie jedna z pracownic hotelu informuje, że w nieoznakowanym pokoju śpi jakaś para. Delikatnie pukamy i ukazują się nam zaspane twarze Kuklińskich. Młode wówczas małżeństwo korzystając z poślubnej podróży skryło się w zaciszu.

W Nowym Sadzie przeżywamy największe w czasie tego tournée nieporozumienie. Otóż gospodarze ze Skopje nadali telegram, że do Nowego Sadu przyjeżdża delegacja polskich budowlańców, z Ryszardem Niewińskim na czele. Zapomniano dodać, że towarzyszy jej ponad 80-osobowy zespół. W rezultacie piękna panorama miasta nad Dunajem i symboliczna lampka „Mastiki” musiała zastąpić kolację. Cała żółć zespołu wylała się oczywiście na mnie. Podobnych niedomówień poza granicami kraju przeżyłem później niestety więcej. Po wyprawie do Jugosławii zrozumiałem, że trzeba dobrze poznać zespół, żeby go zrozumieć i że „Kurpiakiem” może być tylko ten, kto się z zespołem utożsamia.

Szelment

Pamiętny rok 1981. Jesteśmy na obozie, w ośrodku wypoczynkowym „Polmosu” nad jeziorem Szelment w gm. Jeleniewo w woj. suwalskim. Znowu czerwiec, ale zimny. Dlatego też Wiesław Dąbrowski, Józef Zyśk i Jerzy Śródkowski prowadzą zajęcia w pomieszczeniach. Sale do ćwiczeń bardzo dogodne. Wyżywienie znakomite. Palaczy gnębi głód. Papierosy na kartki. Wśród nałogowców rodzi się egoizm. Palenie odbywa się w odosobnieniu i ukryciu.

Modne wówczas koszulki flanelowe w kratkę przyczyniają się do powstania w balecie frakcji pn. „Koszulowcy”.

Stają się bohaterem wyścigu kolarskiego. Wspólnie z Romkiem Szydłowskim i Piotrem Borowikiem ścigamy się na firmowych „Wigrach” po

żwirówce z Jeleniewa do Szelmentu. Małe koła turystycznego roweru stają w poprzek wzniesienia i staczam się po żwirówce ku dołowi, a „Wigry” do rowu. Pożądana była pomoc Piotra i Romka, a w ośrodku pielęgniarki. Ślady żwirowego wyścigu nosiłem do końca obozu.

„Prawdziwek” (Piotr Borowik) był także inicjatorem i realizatorem kolejnych wydarzeń. Zadrutował kucharki w ich pokoju tak dokładnie, że w żaden sposób, bez pomocy z zewnątrz, nie mogły wyjść. Efektem tego było wyraźnie opóźnione śniadanie. Znające się na żartach młode dziewczyny zrewanżowały się Piotrowi. W czasie jego nieobecności obsadziły wszystkie 4 łóżka zielonymi żabami. Piotr spał sam w pokoju. W czasie snu zmieniał łóżka, ale w każdym spotykał się z sympatycznymi mieszkańcami pobliskiego jeziora.

Dwa krany

Po dłuższej przerwie artystycznej spowodowanej stanem wojennym, wyruszamy z poręczenia Ministerstwa Kultury i Sztuki do Holandii. Lokalizujemy się we wsi Ralte (20 tys. mieszkańców), gdzie odbywa się Festiwal pn. Salland. Jest to święto plonów, coś na wzór naszych dożynek, ale organizowane z wielką pompą, w międzynarodowej obsadzie.

Mieszkamy u rodzin. „Menuchin” trafił do kowala. Jego namiętność do piwa jest powszechnie znana w Białymstoku. Holenderski kowal wy-czuł słabość swojego lokatora i w łazience umieścił skrzynkę bieru, której zawartość codziennie uzupełniał. Dobre samopoczucie „Sjonisty” zakłócało jednak co rano mycie i golenie. Wynikało to z usytuowania oddzielnych kranów z zimną i gorącą wodą. Dwoił się i troił pan Mundeł przy porannej toalecie, łapiąc garściami na przemian zimną i gorącą wodę, zawadzając po drodze o piwo. Efektem takich zabiegów była poparzona fizjonomia — ale ogolona, bądź zarośnięta i nieco zakurzona.



Co kraj — to obyczaj

W Ratle przypadło mi mieszkać wspólnie z wicewojewodą Julianem Słarzyńskim w rodzinie nauczycielskiej. Josef i jego żona udostępniłi nam mały pokój na poddaszu. Po rozlokowaniu się w skromnym, ale schludnym pomieszczeniu, oczekiwaliśmy na zaproszenie gospodarzy na posiłek. Przeczekaliśmy tak śniadanie i obiad. Kiedy przyszła pora kolacji i nadal nic nie wskazywało na zaspokojenie naszych apetytów, postanowiłem sprawę wyjaśnić. Zadzwoiłem do p. Krasieńskiego którego poznałem w Białymstoku na Sejmiku Działaczy Polonijnych. Telefonicznie poinformowałem go o naszej sytuacji. W odpowiedzi usłyszałem sympatyczny śmiech i zapowiedź Jego przyjazdu. Zjawił się po dwóch godzinach. Spotkaliśmy się wspólnie z gospodarzami w pokoju jadalnym, gdzie sprawa się wyjaśniła. Otóż w Holandii obowiązuje zwyczaj informowania gospodarzy o chęci spożycia posiłku oraz o jego menu. Od tamtego wieczoru nasz pobyt u holenderskich gospodarzy przebiegał bez żadnych niespodzianek.

Bończy

Przed wyprawą do Rumunii, w roku 1979, zarządzamy zgrupowanie artystyczne w Kozłu k. Kolna. Razem z nami, w swojej „ambasadzie” zlokalizował się śp. Ryszard Grotowski ps. „Grot”. Po zajęciach kondycyjnych baletowych i wokalnych, „Kurpiacy” mogli korzystać ze słońca i kąpeli w Pisie lub grać w siatkówkę, zbierać grzyby, zwiedzać okolicę oraz „Bończy”.

Liczne grono piwoszy z p. Janem Szaciłło i Romkiem Szydłowskim chętnie i często udawało się na „Laleczki” (piwo łomżyńskie) do karczmy. W żargonie obozowym nazwano ją „Bończy”. Z Romkiem Szydłowskim przebywał na obozie jego syn Adaś. Muszę dodać, że obozy zespołu zawsze miały rodzinny charakter. Również mój Krzysztof, nazwany „Serem”, wkomponował się do „Kurpiaków” na obozie w Bielsku Podlaskim, w roku 1977. Otóż 3-letni Adaś zagadnięty przez „Kurpiaków” — gdzie jest tatuś? — od razu odpowiadał: „Poszedł do Bończy, gdzie się wszystko kończy”.

Zdarzyło się raz pewnego, że pobyt w Bończy przedłużał się. Znużony Adaś załapał się z ekipą wędkarzy i zniknął z Kozła. Po powrocie z Bończy Romek rozpoczął poszukiwania syna. Przyłączyli się do niego pozostali koledzy. Dopiero pod wieczór odnaleziono Adasia nad Pisą, łowiącego ryby z Andrzejem Kuczyńskim.

Tatuś, co robisz?

„Kurpie Zielone”, to również swatka. Dzięki przynależności do zespołu sakramentalne „tak” powiedziało już kilkadziesiąt par. Wśród nich Anka i Andrzej Kuczyńscy. W czasie jednego z koncertów w Teatrze

im. Al. Węgierki ich syn Czarek zasnął za kulisami. Obudził się dokładnie w tym momencie kiedy jego ojciec wychodząc na scenę z flintą intonował pieśń myśliwską. Na słowa „A kiedy myśliwy całą noc poluje...”, Czarek wybiegł na scenę krzyżąc „Tatuś, co robisz?!” . Widownia skwitolowała ten incydent gromkimi brawami.

Górskie jezioro

Wypad do Turcji to łańcuch nieporozumień. Było to w roku 1985. Zaczęło się od perypetii z wizami, potem z hotelem. Na Węgrzech „Juventur” miał zapewnić nocleg. Owszem, znaleźliśmy wskazany na voucherze hotel, ale nie zgadzała się nazwa miejscowości. Długo błędziiliśmy w Bułgarii, by odnaleźć przejście graniczne w Derekey.

Byliśmy bez tłumacza. Na granicy robię za Turka i tłumaczę, że jedziemy na festiwal do Samsun. Linią wojskową łączę się z Samsun. Z biura organizacyjnego festiwalu otrzymuję informację, że nasz pilot Omar zaraz do nas dotrze. Wreszcie jest i zrobiło się różniej wśród 42-osobowej ekipy. Jedziemy berliettem do Azji, nad Morze Czarne. Wśród wielu atrakcji jakie serwują nam gospodarze jedna zasługuje na wspomnienie. Omar wiezie nas ok. 70 km od Samsun, aby pokazać nam górskie jezioro. Wspinamy się po stromych zboczach coraz wyżej, a jeziora jakoś nie widać. Wreszcie na większej polanie Omar zatrzymuje kurpiowską karawanę, by jej oznajmić: „Jeziora wprawdzie nie ma, ale za to jest wspaniała panorama. Popatrzcie na morze”.



Pożegnanie „Zasłużonych „Kurpiaków” — rok 1979 r.

W drodze powrotnej z Turcji najwięcej emocji przeżywam w Burgas. Do Brasow pozostało jeszcze 500 km, a w samochodzie paliwa starczy najwyżej na 200 km. Co robić? Zespół poszedł do miasta, a ja główkuję wspólnie z Walentym Małaszkiwiczem i Stanisławem Oksztulem. Zapada decyzja — musimy wyjechać z miasta. Paliwo zdobędziemy na trasie. Kupimy prywatnie od kierowców. I tak też się stało.

W Rumunii spotyka nas oberwanie chmury. Ostatkiem sił i woli docieramy do przyjaciół z „CEFERA” w Brasov. Tankujemy kolejną ropę i... do Białegostoku.

Zapiekanka i sauna

Pomeranią dopłynęliśmy w roku 1984 do Helsinek. Tuż po zaokrętowaniu nastąpił podział kajut. Mówię do Józka Zyska: „Pamiętaj, ja chcę miejsce przy oknie”. Wchodzimy z Andrzejem Dyrdałem, Józkiem i Jerzym Slezakiem pod wskazany adres i... nikt nie miał miejsca przy oknie, bo nie było okna. Z turnee po środkowej Finlandii najbardziej zapamiętaliśmy zapiekankę. Finowie serwowali ją w różnej postaci: mrożoną, na gorąco, jako sałatkę, a nawet na deser.

Narodowa sympatia Finów do sauny jest powszechnie znana w świecie. Nasi palacze wykorzystywali te miejsca na zaspokojenie nalogu, bo w Finlandii nie pali się prawie wcale, a jeśli już, to w specjalnie wyznaczonych miejscach.

Pierwszy lot

Zdarzył się w roku 1979 do Bukaresztu. Podzieliłem wówczas zespół na dwie grupy. Jedna pod wodzą Wiesława Dąbrowskiego i Jerzego Śródkowskiego odbyła bezpośrednią trasę Warszawa — Bukareszt i z powrotem.

Druga wiodła z Warszawy do Budapesztu i stamtąd do Bukaresztu samolotem. Natomiast z powrotem pociągiem z Bukaresztu do Budapesztu a stąd LOT-em do Warszawy. Na lotnisku w Budapeszcie przeżyłem stres. Pięć minut przed odlotem zjawił się Zygmunt Wójcik. Na moje stwierdzenie, dlaczego tak późno, odpowiedział: „Zdażyłem na czas, samolot jeszcze nie odleciał”.

Ligawa

Rok 1980. Jesteśmy w Londynie. Wracamy na lotnisko po odbytym turnee po hrabstwie Essex. Wiezie nas angielska pilotka Patt. W śródmieściu metropolii zdarza się awaria autokaru. Podjeżdża wóz policyjny i wskazuje miejsce postoju. Patt dzwoni do bazy w sprawie podstawienia drugiego autokaru oraz na lotnisko, by opóźnić lot. Podjeżdża zapasowy autokar i mkniemy na lotnisko. Zajmujemy miejsca w samolocie i cze-

kamy na kołowanie. Rozlega się głos speakera. Proszę się zgłosić po bliżej nieokreślony przedmiot, celem jego identyfikacji. Wśród naszych bagaży była ligawa. Po zapewnieniu, że jest to ludowy instrument, a nie armata, polski kapitan Ila-68 otrzymał pozwolenie na start.

Dwa kołchozy

Kolejna wyprawa na Białoruś. Stacjonujemy w Lidzie. Jest bardzo mroźno. Zasy py sięgają do dwóch metrów. Nasz opiekun Wiktor Gubisz zarządza wyjazd z hotelu na koncert do kołchozu. Wsiadam do wozu milicyjnego. Ruszamy kolumną. Milicyjna wołga oddała się i pozostawia autokary z tyłu. Jedziemy wprost do kołchozu, aby sprawdzić stan go-



XXX-lecie „Kurpi Zielonych” — występy w Teatrze Dramatycznym 1984 r.

towości do koncertu. Czekamy na autokary. Nie ma ich w ciągu godziny, a potem dwóch.

Komendant milicji łączy się drogą radiową z innymi posterunkami. Szukamy dwóch autokarów. Okazało się, że autokary zajechały do innego kołchozu, wóz z kostiumami i my czekaliśmy także nie w tym co trzeba. Porozumienie nastąpiło drogą telefoniczną i po kilku godzinach widownia czekająca w tym kołchozie, który był przewidziany w harmonogramie, zobaczyła „Kurpie Zielone” na scenie. Podczas bankietu Wiesław Dąbrowski wyjaśnił mi przyczyny nieporozumienia. Kierowcy autokarów mieli w kartach drogowych wpisaną nazwę kołchozu, którą podano im dzień wcześniej. W ciągu doby nastąpiła zmiana, o której nie poinformowano kierowców. Karta drogowa rzecz święta i należy według niej się poruszać. Tak też zrobili białoruscy kierowcy.

Pali się!

Kiedy wracaliśmy z obozu kondycyjnego z Paczkowa trafiła się nam okazja strażacka. Za Wyszkowem widzimy słup ognia, który trawi wiejskie zabudowania. Podejmujemy jedną, jedyną decyzję, jaką można w tej sytuacji podjąć. Biegniemy nocą przez pole, aby ratować ludzi, zwierzęta i mienie gospodarskie. Dom prawie spłonął. Koncentrujemy się na ochronie przyległych zabudowań gospodarskich oraz sąsiednich domostw. Kurpiacy ofiarnie walczą z żywiołem, aż do skutku.

Zmęczeni i osmaleni wracamy do domu. Śnią się nam po nocach paczkowskie komary, które kąsały wszystkich bez wyjątku.

Rumun w garażu

Jubileusz 25-lecia zespołu świętujemy w „Glogierówce”. Są tu również goście z chóru „CEFERE” z Brasov. Przed świtem wracamy do Białegostoku. Józef Kowalczyk odwozi Rumunów do hotelu „Turkus”. Sprawdzając autokar przed postawieniem w garażu, zauważył, że za tylnym siedzeniem spał w najlepsze jeden z chórzystów. Gdyby nie przezorność Józka, kolejarz z Brasov spędziłby noc w garażu.

Kruk w Narwi

W czasie trwania obozu kondycyjnego w Zespole Szkół Rolniczych w Bielsku Podlaskim często wyjeżdżaliśmy na relaks do Plosek. Głównym celem była kąpiel w Narwi. Wysoki adept o nazwisku Kruk przechwalał się, że zna doskonale tę rzekę. Udowodnił to kaskaderskim skokiem z wysokiego brzegu, wprost w najbardziej bagniste podłoże Narwi, w wyniku czego oglądaliśmy długie golenie Kruka, wystające pionowo z wody, domyślając się, że ich właściciel utknął głową w mule. Zbiorowe wyciąganie Kruka z Narwi utwierdziło nas w przekonaniu, że najlepiej pływa on w pozycji pionowej.

Profesor

Siedziba „Kurpi Zielonych” w Białymstoku przy ul. Malmeda 10. Przy telefonie profesor Jerzy Śródkowski: „Malmeda, słucham”.

Głos w słuchawce: „Ja dzwonię do Wojewódzkiego Domu Kultury, a nie do Malmeda”.

Profesor „Przecież mówię, że to WDK Malmeda”. Głos w słuchawce: „Czy pan oszalał, Malmeda nigdy nie miał WUDEKU!”

Kazimierz Maksymilian Derkowski

NAJBARDZIEJ LUBIMY TAŃCZYĆ!

Mariusz Ondruch

Zonaty, jedno dziecko, jest kierowcą w WDK i także w tej roli podróżuje z „Kurpiami Zielonymi”. Od 12 lat w zespole, w balecie drugi z tak długim stażem. Z rodziny „kurpiowskiej” — ojciec także tańczył w balecie, matka, członkini zespołu do chwili urodzenia pierwszej córki, niedługo tradycję rodzinną będzie kontynuowała córka. Do zespołu z ogniska baletowego ściągnął go Wiesław Dąbrowski; po dwóch miesiącach „terminowania” — pierwszy występ w Związkach Zawodowych, przeżywany z dużą treścią ale bez większych potknięć. Londyńska przygoda: tańczyli pod pomnikiem Nelsona na placu mokrym i śliskim jeszcze po niedawnym deszczu (słynna angielska pogoda), kiedy w oberku, w trakcie wykonywania obrotu spostrzegł, że nie ma partnerki, która pośliznęła się na asfalcie i upadła.



Ewa Zagórska

Od 7 lat w zespole, studentka filologii polskiej Filii UW, oczekuje dziecka, nie zamierza rozstać się z „Kurpiami”. Bardzo lubi taniec, tańczy od dziecka, najpierw w ognisku baletowym, teraz w „Kurpiach”. Ukończyła Studium Oświaty i Kultury przy WDK (specjalizacja — taniec), prowadzi dziecięcy zespół taneczny w klubie „Zenit”, który dwa lata temu zajął II miejsce w Przeglądzie Zespołów Spółdzielczości Mieszkaniowej w Białymstoku.



Janusz Linkowski

Studiuje budownictwo na Politechnice Białostockiej, od 4 lat w zespole, lubi dowcip, dziewczęta, wada — zawsze się spóźnia. Spóźnił się na swój pierwszy występ, który miał odbyć się 7 marca w Wyszku. Zdawał egzamin i nie zdążył na autokar, który wiozł „Kurpiaków”, ale potraktował to ambicjonalnie i do Wyszku dotarł w ostatniej chwili „okazją”. Najprzyjemniej wspomina wyjazd do Francji. Na pożegnalnym, wspaniałym balu poznał Francuzkę, z którą wybrał się na nocny spacer i spóźnił się na miejsce zbiórki przed wyjazdem, co zrodziło podejrzenie, że zamierza zostać we Francji. — Nie ma obawy — mówi — Francuzki nie są w moim typie, lepsze widoki ma się w Białymstoku na ulicy Lipowej.

Dorota Ondruch

Od 8 lat w zespole, mężatka, 1 dziecko, studiuje na Filii UW na Wydziale Ekonomii. Z mężem poznali się w ognisku baletowym, ale złączył ich na dobre i złe zespół „Kurpie Zielone”.



Mariusz Franciszkiewicz

W „Kurpiach Zielonych” od 7 lat. — Jak to się stało, że wstąpiłem do zespołu? Moim sąsiadem jest pan Wiesław Dąbrowski, wieloletni choreograf „Kurpii”, z którego synem przyjaźniłem się od piaskownicy. To on zachęcił mnie do uczestnictwa w zespole, czego nie żałuję. Jest to dla mnie wspaniała, nieustająca przygoda. W „Kurpiach” poznałem żonę, która teraz ma przymusową przerwę (oczekuje dziecka), ale na pewno powróci do zespołu.

Barbara Barwik

10 lat w „Kurpiach”, obowiązki rodzinne (2 synów) spowodowały, że od 3 lat nie śpiewa w zespole, ale z sentymentu przychodzi na jego spotkania, gdzie zawsze można powspominać dawne, dobre czasy i wspólne przygody.



Brat, Bogdan Żurawski, pierwszy wstąpił do zespołu. Mimo, że podśmiały się z tej jego decyzji z koleżankami, po ogłoszeniu w „Gazecie” o naborze do „Kurpii” dała się namówić koleżankom, które utrzymywały, że ma dobry głos i ładnie śpiewa. Z zespołem była w Anglii, Holandii, Francji, Finlandii i Rumunii. Najsympatyczniej wspomina pobyt w Holandii, gdzie zwiedziła całe wybrzeże i spotkała się ze swoją koleżanką, która wyjechała z Polski. Ma bardzo dużo zdjęć z występów i wyjazdów — więc jest się czym pochwalić przed rodziną i znajomymi.

Bogdan Żurawski

Pracownik administracyjny WDK, w zespole od 1977 r. W trakcie nauki w Przychodkowej Szkole Energetycznej był członkiem zespołu wokalnoinstrumentalnego prowadzonego przez p. Marka Skwierczyńskiego. Po skończeniu szkoły brakowało mu tańca; na imieninach u szwagierki poznał „Kurpiankę” i zachęcony jej opowieściami o zespole wstąpił do „Kurpi Zielonych”.

Z wielu wrażeń z wyjazdów zagranicznych najbardziej zapadło mu w pamięci miniaturowe miasteczko w Hadze, gdzie na niewielkiej powierzchni odwzorowano w zminiaturyzowanej postaci to miasto: budowle, lotnisko z kołującymi samolotami, wesołe miasteczko, porty ze statkami, koleje, mosty.

Zgodnie ze zwyczajem zespołu przyjętym podczas zagranicznych tournée w Holandii zespół śpiewał w języku ich gospodarzy ludową piosenkę o dziewczynie, która się źle prowadziła. Ponieważ zdarzyło się im wystąpić w kaplicy w obecności duchownych Wiesław Dąbrowski miał wątpliwości, czy należy w tym szanownym gronie prezentować tak frywolną piosenkę. Obawy okazały się niepotrzebne, gdyż duchowni dołączyli swe głosy do kurpiowskiego chóru.



Beata Belkowska

Mężatka, pracuje w Szpitalu Psychiatrycznym w Choroszczy, staż w zespole 7 lat. Zaczynała — tak jak większość w balecie „kurpiowskim” — od ogniska baletowego. Najbardziej egzotyczna, pełna przygód (dobrych i złych) podróż — do Turcji. Byli 600 km za Istambulem, zderzyli się z inną kulturą — azjatycką i muzułmańską. Zdziwienie budziły polskie tańce, stroje, ale i odnoszenie się chłopców do dziewcząt. Tam dziewczęta nie chodzą po ulicach same, więc zawsze musiały mieć męską „obstawę”. Męcząca, pięciodniowa podróż do Polski (z jednym noclegiem w Rumunii). wysoka temperatura, upał w autobusie, omalże nie doprowadził do tragicznych skutków — część zespołu pochorowała się, a kolegę z zapaleniem mózgu musieli odwieźć prosto do szpitala, na szczęście już w Polsce.

Krzysztof Derkowski

Student III roku pedagogiki k-o Filii UW, żonaty, córka Magdalena, w „Kurpiach” formalnie od września 82 r., nieformalnie — od dziecka, nazywany „maskotką” zespołu; z ojcem — kierownikiem zespołu jeździł na „kurpiowskie” obozy. Bardzo lubi taniec. Nie odczuwa sławy czy uznania zespołu w mieście. Jego koledzy ze studiów nie wiedzą o istnieniu „Kurpi Zielonych”. Publiczne koncerty w Białymstoku odbywają się bardzo rzadko. Najczęściej występują rocznicowo-jubileuszowo, bądź dla okraszania akademii „ku czci”, gdzie krąg widzów jest ograniczony. Według niego i innych członków zespołu sprawa reklamy i organizacji „leży”, przydałby się dobry menadżer. Bardzo podobała mu się organizacja występów w Turcji — w ciągu dnia, przed wieczornym koncertem mieli 10-ciominutowe „reklamówki” — występy w różnych punktach miasta, parkach. Także nie wyobraża sobie takiego występu jak w RFN w namiocie, gromadzącym 3 tys. ludzi, którzy przyszli wypić piwo, pobawić się i zrelaksować przed poniedziałkową pracą. W Niemczech, mimo wcześniejszych obaw, spotkali się z ogromną gościnnością, a także miłą i wymierną materialnie (prezenty, odżywki dla dzieci) życzliwością.

Notowała: J.S.

I TAK TO SIĘ ZACZEŁO

O Zespole Pieśni i Tańca Białostoczczyzny „Kurpie Zielone” napisano dużo. Każdy bowiem występ w kraju i za granicą był recenzowany przez prasę. Najmniej napisano jednak o powstawaniu zespołu a 35 lat to dostatecznie dawno aby zapomnieć. Powróćmy jednak do tych odległych czasów.

W Gródku wszyscy ją znają. — Idę w tamtą stronę, zaprowadzę pana — mówi spotkana w GOK-u koleżanka jednej z pracownic. Pani *Nina Muszyńska* pochodzi z Supraśla. Przed wojną przyjechała z mężem do Gródka. Wcześniej uczyła się w gimnazjum przy ulicy Kościelnej. Wojna zmieniła oblicze niewielkiego, położonego kilka kilometrów od granicy, miasteczka. Hitlerowcy wymordowali Żydów, którzy stanowili większość mieszkańców. Ginęli Polacy i Białorusini. Zginął także w czasie bombardowania wycofujących się w 1941 r. oddziałów radzieckich mąż pani Niny.

Nadeszło wyzwolenie. Pani Nina podjęła pracę w Urzędzie Gminy. Najpierw przy ewidencji ludności i wydawaniu dowodów osobistych, potem wybrali ją na sekretarza gminy. Od kwietnia 1945 r. była także przewodniczącą Ligi Kobiet. Wówczas ta organizacja zajmowała się przede wszystkim opieką nad sierotami, podziałem mleka w proszku, margaryny, śledzi. Czasy były ciężkie.

Jako sekretarz gminy organizowała bibliotekę. Wojna pozostawiła ogromne спустoszenie w sferze oświaty i kultury. Dom można wybudować w ciągu roku. Wychowanie i wykształcenie człowieka trwa znacznie dłużej. Najlepiej rozumiano to kilka lat po wojnie.

W 1953 r. ogłoszono konkurs czytelniczy. Kobiety w Gródku postanowiły czytać głośno. W niewielkiej świetlicy z trudem mieszczącej 30 osób zbierały się wieczorami i słuchały — wykonując robótki — powieści J.I. Kraszewskiego. Książki o miłości dziedzica i wiejskiej dziewczyny.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Rozmówiane w lekturach kobiety postanowiły zorganizować akademie na Dzień Kobiet. Zaplanowano część artystyczną. Był już 1954 rok.

Pani Nina pojechała do Zarządu Powiatowego Związku Samopomocy Chłopskiej, wypożyczyła stroje ludowe. Akademia udała się zaś publiczność nie chciała wypuścić artystów z sali.

Po koncercie utworzony w taki właśnie sposób zespół zaproszono na eliminacje powiatowe Przeglądu Piosenki Ludowej. Odbyły się one w gmachu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Zespół z Gródka otrzymał proporzec przechodni i nagrody wśród których były: mandoliny, gitary i chyba akordeon. Może akordeon otrzymały z innej okazji. Trudno to pamiętać po 35 latach.

Nagrody scaliły zespół, stanowiły także zachętę do pracy.

Był wtedy w Białymstoku Zespół „Podlasie”. Liczył około 60 osób. Instruktorem i kierownikiem „Podlasia” był pan Jeżak. Imię zatarło się w pamięci. Z tym zespołem wystąpili razem w Teatrze im. Aleksandra Węgierki w 1955 r.

W „Podlasiu” szykowały się zmiany. Pan Jeżak wyjechał z Białegostoku i zespół przejął Stefan Sobierajski. Pan Stefan prowadził wcześniej młodzieżowy zespół szkolny „Echo” liczący około 15 osób. Po przejęciu „Podlasia” zmienił jego nazwę na „Kurpie Zielone”. Nadał też nowemu zespołowi inny profil artystyczny.

Współpraca z zespołem z Gródka skończyła się — mówi pani Nina.

Rozmawiamy w ostatnich dniach lutego. Przed domem pani Niny w zadbanym ogródku pachnie wiosną. Zastanawia się czy zdjąć położone jesienią gałęzie jędliny z rosnących dookoła domu róż. Czy już naprawdę nadeszła wiosna. Zespół z Gródka też szykuje się do jubileuszu. Dzień Kobiet — niedługo.

Waldemar Fiedorowicz

DIAGNOZY STAN KULTURY

Mrówka

INTRODUKCJA, CZYLI AUTOR SIĘ WYMĄDRZA

Czepianie się słówek jest ponoć nieznośną wadą, mówiąc jednak o amatorskim ruchu artystycznym (w skrócie ARA) nie tylko przychodzi ochota zapytać, o jaki bez-ruch chodzi, ale również z najważniejszym ukontentowaniem wymierzyć precyzyjnie plasowanego kopa. Rzecz jasna nie kopie się leżącego, zwłaszcza że do końca nie wiadomo, komu się to najbardziej należy. Węzeł ten trzeba by jednak rozciąć, ale ba! Kto ma dzisiaj ochotę zabawić się w Aleksandra?

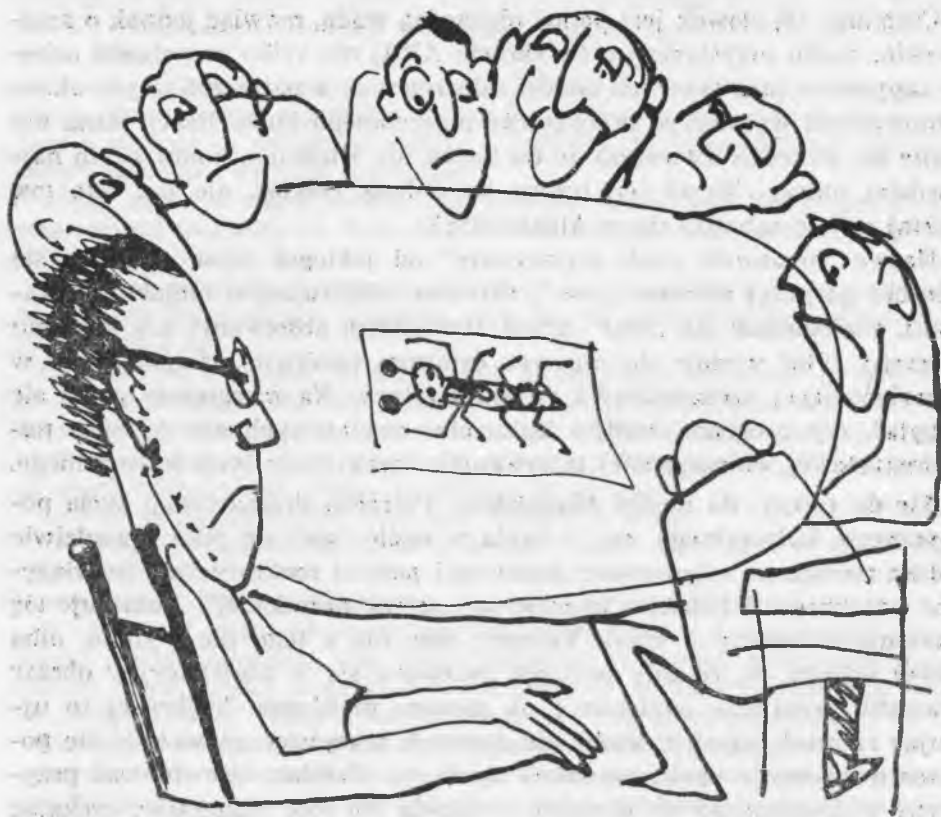
Nazwę „amatorski ruch artystyczny” od jakiegoś czasu opatruje się (nie bez goryczy) skrótem „tzw.”, skrótem nobilitującym niejako do dramatu, analogicznie jak „mgr” przed nazwiskiem absolwenta k.o. któremu rzezonny tytuł wydaje się zapewne ostatnim punktem orientacyjnym w dezorientującej rzeczywistości świata Kultury. Na marginesie godzi się zapytać, czy program studiów kulturalno-oświatowych nie wymaga natchmiasstowej, chirurgicznej interwencji... praktyków życia kulturalnego.

Ale do rzeczy, do rzeczy Mirosławie! Potrzeba dramatyzacji życia politycznego, kulturalnego, etc., i życia w ogóle, jawi się jako prawdziwie polska metoda na niemożność. Jakże to i nasze i romantyczne, rozwiązywać najpilniejsze Polaków kwestie na „scenie narodowej”. Publikuje się alarmujące raporty o stanie kultury, lecz nic z tego nie wynika, albo raczej wynika to, że cały problem przesuwają w abstrakcyjny obszar dramatu, pomijając odniesienie do samego problemu. Najkrócej to ujmując zamiast odpuścić większość durnych przepisów prowokuje się poprzez mass-media ogólnonarodowe dyskusje. Zamiast zlikwidować przyczyny niekończącego się dramatu rozdziela się role Hamletów, czekając aż zejda wygwizdani ze sceny ze swoim „być albo nie być” kultury. Reformuje się, apeluje; komuś zależy na tym, żeby zaznaczyć swoją obecność pośród rusztowań oplatających kulturę. Podobno kultura wymaga kapitalnego remontu, ale przeprowadza się tylko remont rusztowania, aby broń Boże nie runęło.

W przypadku ruchu amatorskiego jest podobnie. Wszyscy wnoszą, że jest coraz gorzej, i co z tego? Nie dziwi przeto omnipotentna obecność

iluzji w naszym życiu. Skłaniamy się nawet ku domniemaniu, iż jest ona siłą i sprawcą, i zaradcą zarazem. Nie próbujemy tylko domniemywać, po której stronie zostaniemy, kiedy opadnie kurtyna. Nie wiemy! Jeśli mowa o Ruchu, to metoda dramatyzacji nie jest bynajmniej potrzebna artystom-amatorom, stała się natomiast niezbędna dla osób instytucjonalnie związanych z ARA. Dzięki niej bowiem zainteresowani — krytycy i obrońcy ARA — mogą spać spokojnie. Jedni dlatego, że się zdystansowali, drudzy, bo gadanina tamtych niczego przecież nie zmieni. Wszyscy przeto zaznaczywszy swój udział w walce z polską niemożnością, patriotycznie pogwizdują zgodnym chórem... przez sen.

Opisywana metoda zawiera bowiem moment, w którym krytycy i obrońcy Ruchu wyrażają swoją wolę utrzymania go w niezmienionej kondycji. Z czego bierze się ów konsensus, nie wiadomo. A jeżeli jest to komu wiadome, to wcale nie zależy mu na roli coronera, któremu przypisano powinność stwierdzenia, że trup to trup. Trup co prawda ożywiony dzięki wielkim animatorom, poruszającym marionetką ARA na tyle kun-



sztownie, że wielu pracowników merytorycznych kultury, w tym autor niniejszego artykułu dało się zwieść iluzji. Bo jakby nie było na trupie ruchu amatorskiego mamy się wszyscy jako tako. Wprawdzie trup już wyspany z żywotnych soków, a nam robaczkom dość chudo pod lichymi ubrankami, to jednak żyjemy. Jako tako. I dobrze nam tak!

W tym miejscu pozwolę sobie zilustrować powyższy problem niegdy+

siejszą śmiercią anonimowej mrówki, którą przypadkowo uwiozłem z lasu. Gdy zaczęła mnie kąsać, wytrzepałem ją na trotuar spod nogawki spodni. Początkowo szukała swoich towarzyszek, mrowiska, leśnych ścieżek — ale na próżno! Zastygła więc w doskonałym bezruchu. Aha, pomyślałem, w obliczu zagrożenia życia udaje trupa. Stając się nieruchomą, kamiennie spokojną cząstką groźnego, zabetonowanego świata, mogła rzeczywiście przetrwać... Czyhanie na jej bohaterski, chociaż z góry skazany na klęskę powrót do rzeczywistości, skończyło się po 30 minutach. Owad zwócił mnie. Pozorny, przemyślany bezruch mrówki okazał się skomplikowaną grą, cudownym sposobem na niemożność. I podobnie jak z katorżniczego wysiłku dwóch cwaniaków ze słynnej baśni Andersena, tak z jej mrówczego trudu powstała gęsta, aczkolwiek niewidoczna tkanina, za którą dokonała się jej cicha, niedostrzeżona przeze mnie prawdziwie bohaterska agonია.

Obiecując sobie, że bezruch w jakiegokolwiek postaci nigdy mnie nie zwiedzie, postanowiłem napisać w stosownym czasie epitafium na jej cześć.

Chwyćmy się jednak głównego wątku, skoro już razem tkamy. Zasadniczą tezę tego rozdziału jest twierdzenie, że ruch amatorski umarł, a jeśli nie, to tylko dlatego, iż nikt z osób decydujących o kulturze nie chce powiedzieć tego głośno. Nad kulturą w ogólności, a nad ARA w szczególności zapadła zмова milczenia. Pytać dlaczego, znaczyłoby dogrzebywać się w mule naszej rzeczywistości konkretnych odpowiedzi. A to przekracza ramy niniejszego artykułiku. Wspomnijmy więc, z łezką w oku pointę wiadomej baśni i przyglądnijmy się zadymionemu tłu kultury, w które amatorski ruch artystyczny powoli się wtapia.

HIC IACE LEPUS, CZYLI AUTOR POLUJE NA ZAJĄCE

W czasach, gdy propagandowa równość obywatelska implikowała równość w dostępie do kultury, idea otoczenia masowego ruchu amatorskiego instytucjonalną opieką była konieczna. Frontalne parcie na kulturę wielkiej rzeszy ludzi często nieświadomiamających sobie nawet w jak wrażliwej materii przyjdzie im działać, musiało być bezwzględnie ujęte w system prawno-administracyjnych zabezpieczeń. Jest to logika istniejąca do dzisiaj, o stalinowskiej proweniencji: skoro umożliwiała się swobodny dostęp do kultury, to trzeba uniemożliwić swobodny rozwój samej kultury.

Powołane do życia domy i kluby kultury, zaangażowane bezpośrednio w działalność na rzecz amatorów, świetnie spełniały swoje zadania. Z ruchu amatorskiego zawiadywanego przez nie, wyrosli w latach 50-tych ludzie wielkiej pasji, prawdziwi wariaci i maniacy, a przy tym na tyle rozumni i charyzmatyczni, żeby móc obronić przynajmniej niektóre sfery ARA przed powszechną degrengoladą. Dzięki nim ruch amatorski, artystyczny i znakomity w latach 60-tych rozwijał się i oparł indoktrynacyjnej nagonce w następnych latach. Niestety, ogólnie znane okoliczności w latach 80-tych pokonały tych wielkich szaleńców. Więk-

szość z nich odeszła tu i ówdzie, ARA natomiast stała się muszlą zamieszkaną przez morze niemożności i glony kultury, jakieś jubileuszowe zobowiązania, pseudonaukowe opracowania firmowe przez COMUK, itp.

Wszelka nadzieja na to, że lwy ruchu amatorskiego zechcą wrócić do swego naturalnego środowiska, a tym bardziej wyuczyć młodych, jak ostrzyć lwi pazur, jest płonna. Lwi pazur przydałby się do walki z biurokracją w strukturach kultury. Nasza dobra, opiekuńcza biurokracja rozdziela pieniądze i etaty, organizuje szkolenia i życie kulturalne, co więcej, z dnia na dzień, staje się coraz bardziej bezmyślna. Według niej np., zakres propozycji kulturalnych oraz proponowane formy pracy z młodzieżą są elitarne i nieprzystające do potrzeb większości społeczeństwa. Oto przykład wina, jaką biurokracja przypisuje swoim wyrobnikom. Arbitralnie przydany kulturze nakaz poddania się woli większości jest skądinąd znany i nie warto o tym pisać. Warto jednak zastanowić się czy przychlebianie się często niewybrednym gustom „społeczeństwa” (stoliki karciane dla dorosłych, gry i zabawy świetlicowe dla dzieci) nie krzywdzą go tym bardziej, im mniej „elitarnych” propozycji, mogących stanowić wybitnie wychowawczą i kulturotwórczą alternatywę. Jeszcze do niedawna istniejące w wielkiej ilości świetlice przyzakładowe i przyosiedlowe z powodzeniem prowadziły działalność czysto rekreacyjną, gdzie ani ping-pong, ani stoliki do kart nikomu nie przeszkadzały. Z chwilą ich likwidacji rolę organizatorów wypoczynku sobotnio-niedzielnego musiały przejąć domy i kluby kultury, a zwłaszcza te należące do pionu spółdzielczego. Rzecz to biurokracji niszczyć sprawdzone formy działalności, i jej to rzecz niwelować kulturę w imię hasła „wszystko dla większości”. W przypadku klubów spółdzielczych osadziła przy nich swoje agendy w postaci rad mieszkańców. W praktyce postanowienia rad, reprezentujących interes całej społeczności osiedla są zgodne z sugestiami biurokracji. Zakładam jednak możliwość błędu w moim rozumowaniu. Jeśli bowiem postanowienia tychże rad służą rzeczywiście interesowi mieszkańców, to nasuwa się jedynie słuszna konstatacja, taka że ich poziom kulturalny jest zatrważająco niski, chociaż właściwy dla naszego kraju, bo będący wypadkową obowiązującego modelu społecznego i kulturalnego. Dopóki problemy idiotów i półanalfabetów nie zwały się nam na głowę, pomyślemy o naszych jeszcze inteligentnych dzieciach.

Biurokratyczna narośl fizyczna nie stanowi aż tak wielkiego zagrożenia dla kultury, jak sposób myślenia jej wysoko postawionych przedstawicieli. Niedawno jedna z tychże osób dowodziła, iż w naszym regionie kultura ma się dobrze. Pomijam to, że zastosowała (dla poparcia twierdzenia) metodę wyliczania wszystkich instytucji kultury i ich znaczenia dla społeczeństwa. Ale trudno pominąć w jej rozumowaniu brak logiki i zwykłą ignorancję. Oczywiście Teatr Lalek i tym podobne instytucje spełniają ważną kulturotwórczą rolę. Czy jednak o poziomie kultury stanowi ilość instytucji, czy świadome swoich celów uczestnictwo w kulturze liczącej się części społeczeństwa?

Pytanie, jak zainspirować ludzi, aby zechcieli czynnie uczestniczyć w kulturze jest nierozdzielne od pytania: co im zaproponować?

Zubożenie państwa i na tym tle powstały stan histeryczny społeczeń-

stwa polskiego wymusza na decydentach sięganie po najprostsze w życiu instrumenty. W powyższym przypadku ucina się budżety ośrodkom kultury, na których opiera się (w sensie organizacyjnym) cały ruch amatorski. Umniejszając budżety placówkom kulturalnym podcina się także korzenie dla działalności tzw. upowszechniania sztuk (nie tylko profesjonalnych). Upowszechnianie teatru, czy plastyki związane jest organicznie z ARA. Jedno nie może istnieć bez drugiego w tym sensie, w jakim rola matki jest przypisana do roli dziecka. Wojewódzkie domy kultury i ich terenowe afiliacje, sprawujące opiekę nad ARA i upowszechnianiem, z braku pieniędzy będą musiały odstąpić od zadań postawionych przez państwo. Wobec czego istnienie ich jest niecelowe i zgoła niepotrzebne. Ale konia z rzędem temu, kto odgadnie, kiedy nastąpi ich rozwiązanie.

Niemoc ekonomiczna państwa, a także rozsypany się model kultury stanowiący m.in. o tym, że kultura jest za darmo (a więc czymś w rodzaju społecznego mienia, o które nikt nie dba) stawia pod znakiem zapytania jej przyszłość. Należy zatem postawić pytanie, czy nie powinno się jej rozsprzedać? Oczywiście w sposób mądry i przemyślany, np. stowarzyszeniom, organizacjom, mieszkańcom osiedli, gmin.

Prawo własności nabywa się zakupując przynajmniej część udziału. Nabywca staje się udziałowcem wspólnego przedsięwzięcia. Mieszkaniec osiedla może być współwłaścicielem np. domu kultury. Problem jednak w tym, jak uniknąć pośrednictwa biurokracji już istniejącej i jak nie dopuścić do tworzenia nowych form biurokratycznych. W każdym bądź razie, taki wspólny układ, z którego wszyscy czerpią zyski — tak zainteresowany tym obywatel jak i państwo — wydaje się najbardziej wskazany.

DLUGIE ZAKOŃCZENIE, CZYLI AUTOR NARZEKA

Klasyczna definicja ruchu amatorskiego zakłada jego masowy, społeczny charakter, wyrażany spontanicznym uczestnictwem jednostek w różnych dziedzinach sztuki, inspirowanym przez powołane do tego instytucje.

Definicja powyższa nie tylko określa (w sposób pośredni) funkcje i powinności instytucji statutowo patronujących Ruchowi, ale również stosunek zależnościowy tychże instytucji i amatorów. Ruch amatorski powinien mieścić się w definicji ruchu masowego, a tak nie jest. Ulega ciągłej profesjonalizacji z konieczności raczej, niż z potrzeby. Amatorzy, aby być, muszą sprostać wymaganiom swoich opiekunów (czyt. sponsorów), którzy nie posiadając pieniędzy walczą na wolnym rynku kultury o przetrwanie (czyt. dotacje). Jedyłą drogą do tego są zauważalne na festiwalach i różnego rodzaju przeglądach sukcesy podopiecznych. Naturalną tęsknotę twórców-amatorów za sukcesem ujmuje się w cudłej wymogu, nieformalnego nakazu. Sukces staje się dla amatora biletem narodowego banku kultury, festiwale i przeglądy — giełdami skrupulatnie notującymi wartość akcji instytucji opiekujących się nimi. Ta profesjo-

nalizacja Ruchu odcina go od żywotnych źródeł, z których bierze swój, coraz bardziej leniwy bieg. Mam tu namyśli istotną dla niego cechę spontaniczności. W jej braku ruch masowy zastyga w gęstosłodkim syropie sprawozdań i obłudnych frazesów. A kandyzowanie fałszu nie jest niczym nowym w naszej rzeczywistości. Oczywiście profesjonalizm jest naturalną skłonnością twórców-amatorów tym bardziej pozytywną i pożądaną, im ściślej wiąże się z perfekcyjnością warsztatową i świadomością realizowanych celów artystycznych. Taki wybór drogi twórczej zdaje się być znaczącą wartością, ale wartością konkretną dla jednostki. Natomiast nie stanowi wartości dla ruchu amatorskiego. Dlatego wymóg profesjonalizacji stawiany amatorom jest tak niebezpieczny.

POST SCRIPTUM, ALBO JAK AUTOR ZASTYGL W BEZRUCHU NAD NIEDOKOŃCZONYM ARTYKULEM

Niewielka objętość „Dyskusji” nie pozwala na szersze rozwinięcie wielu istotnych dla ruchu amatorskiego problemów. Niektóre z nich można było jedynie zasygnalizować, a jeszcze inne trzeba było pominąć milczeniem, tak dlatego, że o pewnych sprawach dżentelmeni nie mówią głośno, jak i dlatego, że niekończąca się dyskusja o sprawach wiadomych do niczego w naszym kraju nie prowadzi.

Jednak dwie kwestie wymagają choćby najkrótszej wzmianki. Pierwsza to sprawa doboru pracowników merytorycznych. Najczęściej są to przypadkowi ludzie, nierzadko pryszczate panienki, niedojrzałe do roli jaką się im wyznacza. I takie jest właśnie oblicze kultury — pryszczate i infantylne. Nawiasem mówiąc, wielu kierowników świetlic czy klubów nie ma najmniejszej wizji ani programu rozwoju kultury na swoim terenie. Często nie wymaga się tego od nich, zwłaszcza od czasu, gdy ich placówki przeszły pod zarządek terenowych organów administracyjnych.

Druga kwestia to ta, że stan ruchu amatorskiego w istotny sposób oddziałuje na stan sztuki profesjonalnej. Nie bez kozery sądzi się, że ARA dostarcza najpoważniejszych odbiorców sztuki profesjonalnej. Im więcej takich odbiorców, tym mniejsza przepaść estetyczna, intelektualna, emocjonalna między sztuką profesjonalną a ruchem amatorskim, i między artystami a zwykłymi zjadaczami chleba. I jeszcze zależność odwrotna: im mniej świadomych, czujących odbiorców, tym bardziej świat sztuki izoluje się od życia codziennego. Jest to sprawa zauważalna w naszym regionie, bo przecież ruch amatorski jest w żalonym stanie.

Czyja to wina?

No właśnie — właśnie w tym miejscu autor popadł w odrętwienie.

Mirosław Gryka

GŁUCHY TELEFON CZYLI KTO NAPISAŁ „W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU”?

W ramach przygotowywanych przez Wojewódzki Dom Kultury szeroko zakrojonych badań dotyczących poziomu edukacji kulturalnej i zainteresowań kulturalnych mieszkańców Białostocczyzny przeprowadzono niedawno badania pilotażowe na grupce 23 osób aspirujących do zawodu animatora kultury bądź pracujących już w tym zawodzie ale nie posiadających kwalifikacji. Były to, z wyjątkiem jednej, osoby młode — poniżej 30 roku życia. Prawie połowa jest mieszkańcami Białegostoku, jedna czwarta to mieszkańcy małych miasteczek naszego województwa oraz około 30% to osoby mieszkające i pracujące na wsi. Co jest charakterystyczne i nieco zaskakujące, w grupie tej aż 2/3 osób to absolwenci techników i liceów zawodowych. Badani mieli za zadanie w pierwszych dwóch częściach testu skojarzyć podane nazwiska i terminy z jedną z ośmiu dziedzin kultury artystycznej. Natomiast w części trzeciej należało podać autorów wybranych znanych dzieł reprezentujących te dyscypliny.

Listy nazwisk i terminów zawierały twórców o różnym stopniu popularności. Tutaj zostanie zaprezentowany rozkład popularności tych, którzy uzyskali minimum 2/3 prawidłowych skojarzeń w badanej grupie.

Rozkład popularności wybranych twórców w badanej grupie

l.p.	% prawidłowości skojarzeń	dziedziny sztuki				
		kino	literatura	muzyka	plastyka	teatr
1	100%		Lem	Beethoven		
2	96%	Wajda Zanussi			Rembrandt	
3	91%	Kobiela	Kuncewiczowa	Penderecki	Chełmoński	
4	87%			Amstrong Verdi		
5	83%		Białoszewski			
6	78%				Malczewski	
7	74%	Kieślowski Szapołowska		Kulka		Kantor
8	69%	Bergman	Głowacki			Hanuszkiewicz
9	65%		Poświatowska	Ciechowski	Dunikowski	

Warto zauważyć, że wszystkie osoby prawidłowo rozpoznawały tylko dwóch twórców — Lema i Beethovena. Przy czym jeżeli znajomość nazwiska Beethovena nie dziwi, to zaskakująca jest popularność St. Lema. Natomiast nieomal szokuje fakt, że nie wszyscy w tej grupie osób reprezentujących zawód animatora kultury lub aspirujących do niego potrafią powiedzieć z jaką dziedziną sztuki kojarzą im się nazwiska: Wajda, Zanussi, Rembrandt czy Penderecki. Wnioskować stąd można, że znajomość dorobku twórczego tych artystów jest jeszcze mniejsza. Analizując kolejne dziedziny warto zwrócić uwagę na bardzo małą popularność ludzi teatru oraz niską pozycję Ingmara Bergmana czy Krzysztofa Kieślowskiego tak ostatnio eksponowanego, chociażby w środkach masowego komunikowania. Zastanawiający jest również fakt stosunkowo niewielkiej ilości prawidłowych skojarzeń związanych z nazwiskiem Grzegorz Cichowski. Brak w tabeli Basi Trzetrzelewskiej, „która była jeszcze rzadziej dobrze kojarzona świadczy albo o braku zainteresowań w tej grupie osób tzw. muzyką młodzieżową, czy rozrywkową, na korzyść muzyki poważnej albo o kryzysie telewizji, gdyż także Basia jest ostatnio często obecna na małym ekranie.

Słów kilka o tych twórcach, którzy teoretycznie winni być znani przez ludzi legitymujących się średnim wykształceniem, a niestety nie są. Załedwie co trzecia osoba potrafi powiedzieć czym zajmowali się Einsenstein, Cortazar, Solski i Modrzejewska; jeszcze mniej znani są Zelwerowicz czy Eiffel. Zresztą a propos tego ostatniego — architektura jest zdecydowanie naszą piętą achillesową. Traktowana po macoszemu w szkole, nie zwraca także niczyjej prawie uwagi po jej zakończeniu. Nie dziwi stąd, że nawet najwięksi architekci świata są u nas znani tylko jednostkom. Potwierdzeniem tego są wyniki testu — tylko jedna osoba potrafiła powiedzieć czym zajmowali się Le Corbusier, Bernini czy Borromini.

Test pojęć służył głównie do ustalenia głębokości zainteresowań w określonej dyscyplinie, niemniej kilka terminów winno być szerzej znanych niż wynika to z badania. Otóż takie terminy jak polifonia, personifikacja czy sonet potrafiła skojarzyć odpowiednio z muzyką i literaturą tylko co druga osoba. Zaś polityk trafnie zakwalifikowały załedwie trzy.

Najciekawszą częścią badania okazało się przypisywanie autorów do dzieł z poszczególnych dziedzin. Obok ilości prawidłowych odpowiedzi godne uwagi są tutaj także rodzaje błędów. Zaczniemy od filmu. „Kanał” i „Krótki film o zabijaniu” uzyskały po 13 prawidłowych odpowiedzi. Wysoka pozycja filmu Krzysztofa Kieślowskiego wynika bez wątpienia z jego obecności w środkach masowego komunikowania. Jednak obok prawidłowo podanego nazwiska reżysera padały inne wersje np.: Kiśłowski czy Kisielewski. Jest to efekt bądź niedawnej znajomości samego nazwiska, jednokrotnego z nim kontaktu (np. poprzez TV), bądź źle wykorzystana podpowiedź w trakcie wypełniania kwestionariusza. 12 osób prawidłowo podało Aleksandra Forda jako reżysera „Krzyżaków” a po 9 Romana Polańskiego jako autora „Noża w wodzie” i Bernardo Bertolucciego jako twórcę „Ostatniego cesarza”.

W obszarze literatury 10 wybranych dzieł rozpoznało w następującym stopniu:

Dżuma	69 ⁰ / ₀
Biesy	51 ⁰ / ₀
Mistrz i Małgorzata	51 ⁰ / ₀
Klub Pickwicka	34 ⁰ / ₀
Nocny lot	30 ⁰ / ₀
W poszukiwaniu straconego czasu	30 ⁰ / ₀
Lord Jim	21 ⁰ / ₀
Eneida	17 ⁰ / ₀
Gra w klasy	17 ⁰ / ₀
Zmartwychwstanie	9 ⁰ / ₀

I tutaj również w wielu wypadkach badani ratowali się pomocą koleżeńską co nieraz dawało komiczne rezultaty. Przykładem może być chociażby to, kiedy jako autora „W poszukiwaniu straconego czasu” podano Bolesława Prusa. Część jednak błędów jest o wiele poważniejsza, gdyż wynika z ignorancji pisowni nazwisk obcego pochodzenia. Tutaj za przykład może posłużyć choćby autor „Dżumy” — lektury obowiązkowej w szkole średniej. Aż trzykrotnie można było spotkać pisownię Kamus. Podobnie w przypadku Ludwiga van Beethovena dwie osoby pisały jego nazwisko przez „ch” i „w”. Wydaje się, że w przypadku tak znanych nazwisk nie może być żadnych usprawiedliwień. Jeżeli jesteśmy przy twórcy „IX Symfonii” i „Fidelii” to warto kilka słów poświęcić muzyce. Jest to dziedzina po architekturze najbardziej zaniedbana. Co prawda autora „Strasznego Dworu” prawidłowo wymieniło 21 osób ale tylko 10 zdołało to uczynić w przypadku „Czterech pór roku”. a zaledwie jedna umiała powiedzieć kto napisał „Eine kleine Nachtmusik”. Trzeba tu nadmienić, że utwór ten od wielu lat, także obecnie, zawarty jest jako obowiązkowy w programie wychowania muzycznego w szkole podstawowej.

Stopień znajomości dzieł plastycznych ilustruje poniższe zestawienie:

Hołd Pruski	78 ⁰ / ₀
Dama z łasiczką	55 ⁰ / ₀
Bociany	39 ⁰ / ₀
Płonąca Żyrafa	30 ⁰ / ₀
Pieta	30 ⁰ / ₀
Krzyk	24 ⁰ / ₀
Guernica	21 ⁰ / ₀
Szał	17 ⁰ / ₀
Wolność prowadząca lud na barykady	9 ⁰ / ₀
Śmierć Marata	0

Jak widzimy poza dziełem Matejki niewielu ponad połowa badanych potrafiła rozpoznać autora tak znanego dzieła jak „Dama z łasiczką”. Zaś „Bociany” i „Płonąca Żyrafę” prawidłowo kojarzyło z autorem zaledwie co trzeci uczestnik badania. I tu również pojawiły się błędy w pisowni.

Aż trzy osoby pisały nazwiska autora słynnego gołąbka pokoju przez „K”. Jednak wyżyny osiągnęła pewna pani, zapewne melomanka, która jako autora „Hołdu Pruskiego” wymieniła Moniuszkę, zaś „Szał” według niej jest dziełem Lutosławskiego.

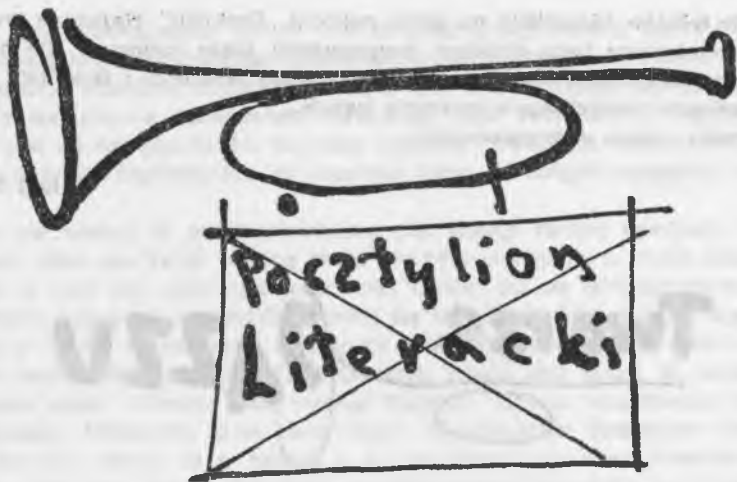
I na koniec tego krótkiego przeglądu teatr. Tu wyniki były najlepsze. Ale znów jedna osoba nie знаła autora „Hamleta”, a po dwie twórców „Zemsty” i „Antygony”. Jeszcze „Noc listopadowa” była trafnie kojarzona z autorem przez 18 osób. Potem następuje przepaść. I oto autorą „Matki Courage” potrafiła prawidłowo podać zaledwie co czwarta osoba, a „Pigmaliona” co szósta. Tak znana sztuka jak „Czekając na Godota” została dobrze zestawiona z autorem tylko przez jedną osobę. Zaś autora „Irydiona” nikt nie potrafił wymienić. Także więc w tym przypadku daleko jest do stanu zadowolenia.

Mimo tego pesymistycznego obrazu, który tu został nakreślony, generalnie wyniki poziomu edukacji kulturalnej w badanej grupie nie wypadły tragicznie. Charakterystykę grupy pod tym względem przedstawiono niżej:

poziom analfabetyzmu kulturalnego	—
poziom bardzo niski (elementarny)	2 osoby
poziom niski	8 osób
poziom średni	11 osób
poziom wysoki	1 osoba
poziom bardzo wysoki	1 osoba

Nie byłoby w tym wszystkim powodu do niepokoju gdyby badano grupę osób nie związanych profesjonalnie z kulturą. Tymczasem w przypadku animatorów lub przyszłych animatorów kultury należałoby wymagać o wiele więcej. Jest to oczywisty wynik negatywnej selekcji do zawodu, która objęła nie tylko kulturę ale całą sferę finansowaną z budżetu państwa. Postępująca pauperyzacja skutecznie odstrasza ludzi prężnych i najwartościowszych. I tak oto zostanie nam w końcu jedynie zabawa w głuchy telefon.

Mirosław Sobecki



Od wielu lat poezja i poeci w Wielkim Mieście Białymstoku (że przywołam symboliczne już określenie po raz pierwszy zapisane przez Sokrata Janowicza) nie mieli łatwego życia. Zainteresowanie ich twórczością było nikłe, odnotowane raczej z grzeczności na łamach miejscowego dziennika. Prowincjonalizm tegoż miasta nie chciał dojrzeć i uznać wartości tu tworzonych, tęsknie zwracając swoje „ochy i achy” w stronę Wielkiej Warszawy. Tak trwało latami. I choć pojawiły się przed laty „Zdarzenia”, które nie zważając na piętrzące się przeszkody promowały wartościową literaturę w tym regionie tworzoną, zakończyły swój żywot w dramatycznym końcu roku 1981. Umarła śmiercią nienaturalną również comiesięczna strona w miejscowej gazecie zwana „Gazetą Literacką”. Jedyne trwa niewzruszenie, doceniając znaczenie twórcy, tygodnik białoruski „Niwa”, który od początków swojego istnienia nie szczędzi miejsca na swoich łamach pisarzom narodowości białoruskiej. Od czasu do czasu wydaje swoje arkusze KKMP, którego poczynaniom nie towarzyszy serdeczność i głębsze zainteresowanie miejscowych publikatorów. Powołany, w końcu lat siedemdziesiątych, oddział KAW swoją euforię wobec tzw. młodoliterackiego środowiska wyciszył szybko, tłamszony rachunkiem ekonomicznym i czasami niestannych reform, które szczególnie niekorzystnie odbiły się na księżce poetyckiej. Zdawać by się mogło, że wszyscy zgodnym chórem w tym mieście podzielają opinię, że poezja umarła wraz z poetami, że nadszedł czas królowania innych gatunków literackich, napełniających szybko kiesę wydawców i mecenasów i że czytelnik łasy często na sensację, szczególnie w mieście o rodowodzie wiejskim, wykreślił raz na zawsze z kręgu swoich zainteresowań poetyckie słowo. Minęło wiele lat pustych. Od 1981 roku nie odnotowano żadnego poetyckiego debiutu książkowego. Zdawało się, że zamilkła poetycka muza. Wielu publikowało swoje wiersze z dala od tego miasta, skazani na sztuczną banicję wiodli żywot emigranta. I choć dochodziły z oddali odgłosy sukcesu jednego z najlepszych w granicach tego państwa poety — Wiesława Kazaneckiego — nie przyjmowano tego z dumą i radością. Aby nie zagłębiać się dalej w pesymizm, trzeba przyznać, że działa w tym mieście instytucja wspomagająca poczynania twórcze, że mecenasujący WDK (mam na myśli dział wydawniczy i kwartalnik „Dyskusja”) nieraz pochylał się troskliwie nad wierszami „raczkujących” poetów, wierząc, że u wielu wrażliwców przynoszących z zawstyżeniem swoje teksty, objawić się może talent — niepowtarzalny i jedyny.

Snuję te gorzkie refleksje, ale jednocześnie gdzieś głęboko tkwi we mnie nadzieja, że czasy nieprzychylnie dla poetyckiego słowa odejdą, że uszanowane zostanie prawo wypowiedzania swojego wnętrza i swojego niepokoju twórczego.

Mając zapewnienie redaktora naczelnego „Dyskusji” pani Iwony Szczepaniak i pana dyrektora WDK — Kazimierza M. Derkowskiego zwracam się z propozycją

o nadsyłanie tekstów literackich na adres redakcji „Dyskusji”. Najlepsze propozycje poetyckie premiowane będą drukiem, proponujemy także rozmowę. Nie będzie to jeszcze jedna Akademia Słowa jeno rzeczowa (mamy nadzieję) i troskliwa serdeczność nad próbami poetyckiego ujmowania świata.

Nie wszystko zostało zaprzeczane...

Antoni Narewski

Twarze JAZZU

COHEN — BARD WSPÓLCZESNOŚCI

Wydaje się, że Cohen ma niewiele wspólnego z muzyką jazzową. Właściwie nie reprezentuje on żadnego z nurtów współczesnego jazzu. Jednakże chcąc pisać o współczesnej pop-kulturze nie sposób pominąć tej ważnej postaci. Również i na rozwój osobowości Cohena muzyka jazzowa wywarła bardzo głęboki wpływ. Jego rozwój przypadłał przecież na okres tworzenia się głównych kierunków współczesnego jazzu, na czas kształtowania się jego obecnego oblicza.

Urodził się w Montrealu w 1934 roku, w bogatej rodzinie kupieckiej. Z pochodzenia jest Żydem. Rodzina jego swoimi korzeniami sięga wschodnich terenów Polski. W młodości długo nie mógł znaleźć swego miejsca na świecie i pośród ludzi. Przez pewien czas zajmował się handlem, ale to zajęcie nie dawało mu satysfakcji. Od osiemnastego roku życia wiąże się z nurtem undergroundu. Jednak jako poeta daleki był od wszelkich nowości i eksperymentów. Sam mówi o tym bardzo mało i niechętnie. Często przy udzielaniu wywiadów twierdzi, iż miał coś wspólnego z beatnikami, a nieco później z hipisami.

Kolejny etap w rozwoju Cohena jako twórcy to studia na Uniwersytecie Mc Gilla. Wówczas zaczyna się prawdziwa kariera Cohena jako poety. Mając 22 lata wydaje swój pierwszy tomik poetycki „Lot Us Comare Mythologies” („Porównajmy mitologie”). Była to indywidualna, trochę osobista próba spojrzenia na historię poprzez jej przedstawicieli utrwalonych w mitach, lub przekazywanych z pokolenia na pokolenie w legendach i podaniach. Ten nurt w poezji Cohena powraca często aż do dziś. W jego utworach raz po raz występują postacie biblijne jak Jezus, Jego Matka, Izaak oraz liczni bohaterowie mitów greckich i rzymskich. Sięga również do mitologii wschodu. Szczególnie miejsce w jego twórczości zajmuje próba znalezienia własnego stanowiska wobec religii żydowskiej. W latach sześćdziesiątych ukazują się inne pozycje Cohena: „Spice-box of Earth” (Urna z ziemią) — 1961 r., „Flowers for Hitler” (Kwiaty dla Hitlera) — 1964 r., „Parasities of Heaven” (Parazyty nieba) — 1966 r. W tym samym roku ukazuje się powieść Cohena — „Beautiful losers” (Piękni przegrani). Wywołała ona spory skandal. Od tego momentu zaczyna się zupełnie nowy etap w jego literackiej karierze. Powieść „Piękni przegrani” staje się drogowskazem pokolenia połowy lat sześćdziesiątych, pokolenia straconych, zarażonych wojną w Wietnamie.

Ballady pisane i śpiewane przez Cohena a wydawane na płytach wytwórni Columbia zyskują coraz większą popularność. Przyciągają one ludzi nieszczęśliwych, starających się znaleźć w nich swe odbicie, ukojenie, zapomnienie, odskocznię w krainę intymnych marzeń. Dusze bohaterów tych ballad są w stanie rozedrganego

napięcia, przypominającego struny elektrycznej gitary, czulej na każdy wstrząs. Przypominają kogoś próbującego zadzwonić z nieczynnego telefonu do nieznanego przyjaciela. Wszędzie, chyba w każdej z tych ballad bohater dźwiga cię, piętno, coś jakby tęsknotę za zbawieniem, czystością. Jego wrażliwość i cierpliwość wystawiana jest na każdym kroku na ciosy zepsutej cywilizacji naszego świata, a pomimo to dąży do doskonałości, do lepszego jutra, do czegoś najczęściej nieosiągalnego.

Cohen nie wierzy w nagłą przemianę, nie uznaje żadnej rewolucji. Wszystkie przemiany jakie zna świat według niego nie były postępem, a wręcz przeciwnie — nie widzi w nich nic, poza rozlewem krwi. Cohen boi się rewolucyjnych przywódców, a może wie, że nie potrafiłyby oprzeć się ich ideom. Sam miał okazję przyjrzeć się temu z bliska uczestnicząc w inwazji najemników w Zatoce Swiń na Kubie, a także przyglądając się rewolucji greckiej. Długa jest droga do wolności, do wyzwolenia duszy. Wiedzie ona, według Cohena, poprzez wrażliwość, zdobywanie doświadczenia. Uczuciem, które bez reszty zdominowało twórczość Cohena jest miłość. Ale nie wierzy on w miłość, a już na pewno nie może uwierzyć w miłość absolutną. Jest tak, jakby zaprzeczał samemu sobie. Większość jego bohaterów to ludzie dla których miłość erotyczna jest codziennym doświadczeniem, a miłość absolutna to domena walki, mimo, iż są przeświadczeni o niemożności osiągnięcia celu. Jednak nie wyklucza to ich dążenia do upragnionego celu. Taka wydaje się być filozofia miłości według Cohena.

Częstym obrazkiem przedstawianym słuchaczowi jest walka dwojga bohaterów: kobiety i mężczyzny. Najczęściej kończy się ona porażką jednego z nich, a czasami bohaterowie, wycieńczeni zmaganiem, padają w końcu sobie w ramiona przekonani, że to ich jedyny ratunek i jedyna szansa na zwycięstwo. Tak jest np. z bohaterem ballady „Famous Blue Raincoat” (Słynny niebieski prochowiec), która jest jakby traktatem o sile ludzkiego uczucia. Udało się Cohenowi odtworzyć tragedię człowieka, kochanka. Ten bohater to tytan uczucia. Potrafi on swoją nienawiść do rywala i do niewiernej żony przelać w litość do tego pierwszego i miłość do kobiety.

Słynny niebieski prochowiec

*jest czwarta wcześniej rano jeden z ostatnich dni grudnia
piszę do ciebie bo chciałbym wiedzieć czy jest ci lepiej
w Nowym Jorku jest zimno lecz lubię to miasto
przez cały wieczór grała muzyka na Clinton Street
słyszałem że budujesz swój dom w odległej pustyni
twe życie nic już nie warte
ale mam nadzieję że zachowałeś jakieś pamiątki*

*Jane przysłała do mnie z lokiem twoich włosów
powiedziała mi że dałaś go jej tej samej nocy kiedy próbowałaś zwiąć
ale czy to ci się kiedykolwiek udało*

*wyglądałaś dużo starszej gdy widziałem cię ostatnio
twój słynny niebieski prochowiec był podarty
witałaś każdy pociąg i wróciłaś do domu sama
bez swojej — Lili Marlene
a ty okryłaś moją kobietę płatkami swego życia
ona przestała już być moją żoną
ja ciągle widzę cię z różą w zębach
ja jeszcze jeden cygan — złodziej
właśnie zbudziła się Jane i prosi aby cię pozdrowić
a cóż ja mam ci powiedzieć mój bracie mój kacie złodzieju miłości
powiem ci tylko że braknie mi ciebie
przebaczam ci
a tak szczerze mówiąc cieszę się że spotkałem ciebie
jeśli zechcesz kiedyś nas odwiedzić
ja twardo śpię a twoja kobieta jest wolna*

*dziękuję ci że zabrałeś z jej oczu zmęczenie
myślałem że zamieszkało tam ono na stale
więc nigdy nie próbowałem tego osiągnąć
znów się budzi Jane
szczerze oddany*

L. Cohen

(przekład K. Ostaszewski)

Cohen wie że cierpienie udoskonala, że pozwala wznieść się na wyższy stopień hierarchii wrażliwości i spojrzeć z góry na przeszłość, nawet na tę najczarniejszą, pełną porażek. To gorzka mądrość człowieka doświadczonego przez los, którą możemy znaleźć w każdym prawie utworze Cohena. Słowo MIŁOŚĆ stało się jego obsesją i nie znam współczesnego poety który w pełniejszy, bardziej dramatyczny sposób przedstawiłby to uczucie.

Twórczość Leonarda Cohena to przede wszystkim wiersze i ballady. Jest to z pewnością jedno z najważniejszych osiągnięć tego gatunku. Wywodzi się ona w prostej linii z pieśni celtyckich bardów, trubadurów z Prowansji, wędrownych włóczęgów i cyganów. Artysta najlepiej czuje się akompaniując sobie na gitarze akustycznej i dzięki temu, a także przez wysoką wartość poetycką jego tekstu, zachwyca nas pięknem czystości i prostoty.

I co, według mnie najważniejsze w jego twórczości to cisza w trakcie koncertu, cisza — kiedy każdy ze słuchaczy szuka bicia własnego serca i w tę ciszę wtapia własny tekst. Dopiero po paru chwilach zrywają się kończące utwór oklaski. Jakże często słuchając Cohena ma się wrażenie że słyszy się samego siebie.

HEJ — NIE MOWI SIĘ ŻEGNAJ W TEN SPOSÓB

*kochaliśmy się dziś rano a nasze pocałunki były głębokie i ciepłe
twoje włosy na poduszce są senną złotą burzą
wielu już kochało się przed nami a my nie byliśmy pierwsi
inni w jakimś mieście albo w jakimś lesie
uśmiechali się tak samo jak ty i ja
lecz oto nadchodzi rozstanie i jest to próba sił dla nas obojga
dlaczego twe oczy są wilgotne od smutku
hej nie wolno żegnać się w ten sposób
ja nie szukam nikogo innego tylko to jest mój czas
odprowadź mnie teraz do narożnika i niech nasze kroki rymują się
ty wiesz że moja miłość wciąż podąża za tobą
i twoja miłość zostaje ze mną
tak wszystko wokół nas ulega ciągłym zmianom
jak morze i linia piaszczystego brzegu
nie mówmy teraz o miłości i kajdanach
nie my rozwiążemy tę odwieczną zagadkę
dlaczego twe oczy są wilgotne od smutku
hej nie wolno żegnać się w ten sposób*

(przekład: Krzysztof Ostaszewski)

Krzysztof Ostaszewski

KUP PAN „DYSKUSJĘ”!

Redakcja, ciekawa odbioru naszego kwartalnika przeprowadziła miniankiety wśród słuchaczy Państwowego Zaocznego Studium Oświaty i Kultury Dorosłych istniejącego od lat już ponad dziesięć przy WDK w Białymstoku. Respondentami były osoby młode, ze średnim wykształceniem, z przewagą kobiet. Odpowiedzi uzyskaliśmy niewiele, bo tylko jedenaście osób zetknęło się z naszym pismem, a niektórzy z respondentów przeczytali (lub przejrzyli) wyłącznie jeden numer „Dyskusji”. Dlatego też zaprezentowane poniżej wyniki sondażu nie mogą być miarodajne, niemniej, jak sądzimy, stanowią podstawę do pewnych (?) refleksji.

Na pytanie: „Jakie jest Pana(i) zdanie o piśmie?” z możliwych odpowiedzi — dobre, średnie, złe — większość (8 osób) wybrało stopień pośredni; trzy osoby miały dobre zdanie o „Dyskusji”, a nikt nie przyznał się do złej o niej opinii. Z jednej strony cieszy brak złych ocen biuletynu, z drugiej tak wyważone zdanie o piśmie może sugerować peryferyczność tematyczną, nijakość i „letniość” przekazu.

Zupełnie inaczej, a więc skrajnie, przedstawia się odbiór grafiki Andrzeja Dworakowskiego, prowokacyjnej i łamiącej tradycyjne kanony estetyki. Siedmiu respondentów oceniło ją bardzo wysoko, czterech nie rozumie o jej i nie akceptowało.

Dziewięć osób zgodziło się ze stwierdzeniem, że problematyka poruszana przez nas i poziom jej prezentacji jest odpowiedni; jedna osoba przyznała, że „Dyskusja” jest zbyt trudna w odbiorze, jedna — że za łatwa.

Na pytanie: „Czy „Dyskusja” powinna być: kwartalnikiem, miesięcznikiem, tygodnikiem?” większość respondentów (8 osób) uważała, że najlepszą formułą wydawniczą byłby miesięcznik, trzy osoby uznały, że kwartalnik a jednej marzył się tygodnik.

Z autorów największą poczytnością cieszyli się: Kazimierz M. Derkowski (5 głosów), Krzysztof Ostaszewski (3 głosy) i Jan Leończuk (2 głosy).

Co nam doradzano? Po pierwsze — wprowadzić chwytły reklamowe, kącik humoru, zamieszczać dowcipniejsze teksty. Po drugie — poszerzyć tematykę o... wszystkie dziedziny kultury, ruch amatorski i profesjonalny, recenzje, pracę domów i ośrodków kultury; a więc zgodnie z sugestiami miłych respondentów „Dyskusja” musiała by ważyć (tak jak to się dzieje z niedzielnymi wydaniem pism zachodnich) kilka kilogramów. I mogłoby się zdarzyć, że w jakimś ciemnym zakątku zamiast słów „Kup Pan cegłę” usłyszelibyśmy: Kup Pan „Dyskusję”!!!

Red.

